



KRONIKA LWOWSKA.

(Szach perski we Lwowie. — Podróż do miasta. — Kobiety i ich węd. — U nas nie wolno. — Wybory ścisłejsze. — Abstynenci we Lwowie. — Dziennikarze. — Taksa za gumy. Gaszenie pragnienia. — Do parku. — Staw, sadzawka, czy bajura. — W tramwaju. — Głodomory we Lwowie. — Elegancka brunetka w fioletowym kapeluszu. — W teatrze. — Łoża prezydenta. — Arnold uwolniony. — W Colosseum. — Nasza kultura. — Szczęśliwej podróży.

Otrzymałem prywatną depezę, że szach perski przejeżdża przez Lwów i wyjechałem na dworzec. Tam przedstawiłem się szachowi i zaproponowałem, czyby nie zechciał potrudzić się bodaj *incognito* do naszego miasta, ażeby zwiedzić jego osobliwości, przyczem rolę *cicerone'a* wziąłem na siebie z całą gotowością galicyjskiego dzentelmena. Muzafer Edin przyjął propozycję. W stroju „cywilnym“, europejskim, bez żadnych odznak, bez dworzana wsiadł ze mną szach do eleganckiego „gummiraclera“ i posunęliśmy we dwójkę do miasta. Po drodze syn słońca mówił niewiele. Rozglądał się tylko ciekawie na wszystkie strony, a najwięcej interesowały go kobiety, za którymi długo patrzył, odwracając się lub nawet wstając z siedzenia.

— Macie tu niebrzydkie kobiety — rzekł do mnie ulubieniec księżycy — a co najciekawsze, że prawie wszystkie do siebie podobne...

— No tak — odrzekłem — może z oddalenia, dla obcego.

— Ale czego one tak wszystkie na mnie patrzą, chyba podobałem się im, czy co...

— Nasze kobiety są chytne i domyslnie, one domyślają się, jaką masz posadę, wielki kuzynie gwiazd.

— Aha! Więc one tylko za tymi oczkują, to ciekawe... Podobno wszystkie kobiety na świecie są równe... A ot ta... zawołał pan ją tu do powozu.

— Nie można, szlachetny potomku słońca, to nie tak, jak u was w Teheranie...

— Jakto? Przecież mi się podoba...

— To wielki dla niej zaszczyt, ale tak u nas nie wolno...

— Stań — zawołał Muzafer na fiakra.

„Guma“ zatrzymała się, a szach ciągnął dalej:

— Przywołaj pan tę niewiastę na chwilę, nie rozumiem, co jej to szkodzić może... wołaj pan, albo strzelam...

— Za wiele łaski, jutrenko wschodu, ale ja nie mam odwagi, zresztą, co jej powiedzieć miałeś?

— Miałem jej powiedzieć, że taka gruba, pękata kobieta nie powinna się ubierać w tak krótką sukienkę, bo to śmieszne; zresztą podoba mi się.

— Dobrze, że zresztą...

— Jedź dalej — krzyknął Muzafer, a gdy gumowiec ruszył, spytał znowu:

— A co to za afisz olbrzymie?

— To są nasze hece — Colosseum z programem bez mężczyzn i ścisłejsze wybory do rady miejskiej także bez mężczyzn...

— Co to znaczy „ścisłejsze“?

— Przy głównych wyborach tzw. hyeny wyborcze nie oblowiły się jeszcze dostatecznie, więc urządza się wybory ścisłejsze...

— I na tem koniec?

— Nie, potem mieć będziemy najścisłejsze, bo jeszcze nie mamy wszystkich radnych.

— A potem?

— A potem unieważnimy wybory i przeprowadzimy nowe — jest to u nas pewien stały, nieopodatkowany jeszcze, i jako taki jedyny przemysł niektórych osobników.

— To już u nas inaczej — zauważył szach — a co to znowu za zjazd abstynentów?...

— Tak, odbył się w tym tygodniu w Krakowie, a jego celem jest propaganda wstrzemięźliwości od trunków...

— To wy przestajecie pić?

— I owszem — zaczynamy! Od kilku lat propaguje się u nas tę ideę, ale nigdy chyba ludzie tyle nie pili, co teraz.

— A dużo jest u was tych abstynentów?

— Nawet nie jeden procent, ale idea powoli przyjmuje się...

— Dlatego macie w każdym domu szynk? O, tu... tu... tu... tu...

— To dla odstraszania...

— A ten tam pijany, co za jeden?

— To dziennikarz tutejszy...

— Cha... cha... cha... zawołaj go pan, ja bardzo lubię dziennikarzy... panie, panie dziennikarzu, chodź pan tu do nas... panie dziennikarzu!

— Przestań, szlachetny bracie księżycy, nie nazywaj go dziennikarzem, bo to u nas obraza...

— Co? obraza?

— Tak jest — niestety, u nas już tak... Są tacy ludzie, wabiący się dziennikarzami, którzy tylko wstyd przynoszą temu stanowi. Dlatego inni nie przyznają się chętnie do tego zawodu...

— Hm...

Byliśmy właśnie w mieście. Ulica Karola Ludwika przepełniona. Muzafer Edin płaci fiakrowi.

— Co się należy?

— Co łaska... — odpowiada dorożkarz.

Szach daje mu koronę.

— To będzie za mało, gumowy kosztuje przynajmniej trzy korony...

— Co?? — Szach złapał się za czuprynę. Ja ci przecież zostawiam konie!...

— No — zaśmiał się dorożkarz — ale u nas tak się płaci...

— To u was muszą być bardzo bogaci ludzie.

— Zwłaszcza ci „gumowi“ — wtrąciłem, dodając dwie korony, bo szach jakoś nie zdradzał wielkiej chęci wyrównania rachunku.

Dzień był gorący. Weszliśmy do kawiarni na lody. Muzafer w przeciagu kwadransa połknął pięć porcyj dużych i dziwił się bardzo, że u nas gaszenie pragnienia tyle kosztuje. Na swoje szczęście nie pił wina w kawiarni...

Zaproponowałem mu przejażdżkę do parku stryjskiego, gdzie odbywał się festyn

— Dobrze — odparł Edin — ale już nie na gumie...

— Pojedziemy tramwajem.

Syn słońca wlaźł do tramwaju i narzekał na ojca.

— W waszych tramwajach można się zgotować — rzekł szach, ściągając surduta.

— Chwała swojego narodu, nie czyni tego, bo u nas nie wypada siedzieć w tramwaju bez surduta...

— Zwaryowaliście, czy co? — zawołał już oburzony Muzafer, zabierając się do ściągania kamizelki.

Kobiety spieszenie opuszczały wagon, a ja wraz z konduktorem straciłszy dużo czasu, zanim udało nam się przekonać szacha, że powinien włożyć surduta.

W parku zatrzymał się nad bajurą, zwaną u nas sadzawką, czy stawem.

— Czy tu wy się kąpiecie?

— Nie, ale to jest historyczna pamiątka, dlatego jej nie zaspujemy. Sztuczna hodowla bakterij.

— Chodź pan dalej, bo tu śmierdzi.

Park podobał się zresztą szachowi. Zdawało mu się tylko, że policja powinna zarządzić damskim ogonom za pomocą przymusowego odcinania ich choćby na ulicy.

W czasie powrotu do miasta z parku mówił mi szach, że już naprzód ciesz się na Wiedeń. Najbardziej ciekaw jest zobaczyć produkującego się tam obecnie słynnego głodomora Sacco.

— Ależ najmańdrzejszy z księżyców, to już u nas takich głodomorów setkami widzieć możesz i nawet ich nikt nie podziwia. Pokażę ci tylko nauczycieli ludowych, artystów teatru ludowego, literatów galicyjskich, urzędników kolejowych itd. To wszystko są ludzie, którzy są żywym dowodem, że można przez szereg lat nie jeść, a mimo to nie umrzeć z głodu...

— Czy mógłbym zabrać ze sobą takie dwa, trzy okazy do domu?

— Nie, nie wypuszczają ich wierzyciele...

— Śmieszny kraj ta Azja...

— Galicya — poprawiłem.

Po skromnym podwieczorku w cukierni Sotschka, gdzie mój towarzysz wypił ośm kaw dużych i zjadł do tego trzy tuziny ciast z wielkim apetytem, urządziliśmy małą przejażdżkę przez miasto, ale już zwykłą dorożką. W dorożce siedział szach bez trzewików, bo twierdził, że mu na bruku lwowskim popuchły nogi. Gdy spostrzegł wóz tramwaju konnego rozśmiał się z takim rykiem, że koń tramwajowy przyspieszył kroku, konduktor się przeżegnał, a przechodnie zatrzymali się w drodze. Natomiast wołał głośno:

— All Heil! ile razy minął się z autowilem. Przez cały czas nie przestały go jednak interesować kobiety. Szczególnie jedna, ogromnie elegancka brunetka, z fioletowym, pięknym kapeluszem na głowie, rozbijająca się ciągle na gumach, ogromnie mu przypadła do gustu. Chciał po prostu wyskoczyć z dorożki i to bez trzewików.

— Taki skok kosztowałby ciebie, wielki pierdiku Boga, przynajmniej tysiąc koron — objaśnię, wstrzymując szacha.

— Śmieszny kraj ten wasz Paryż.

— Galicya — poprawiłem.

Wieczorem byliśmy w teatrze. Przed przedstawieniem Muzafer Edin ciekawie rozglądał się po sali.

— Co to za pan, ten z bródką, w łóży?

— To jest nasz prezydent, który już nie ma prezydentury, ale ma jeszcze łożę prezydenta w teatrze.

— Aha, rękaw bez surduta.

— Dlaczego?

— To pana nic nie obchodzi. A kto to ten tam w ostatnich rządach.

— To jest szynkarz Arnold, którego niedawno sąd uwolnił, gdy za oszustwa wyborcze miano go zamknąć.

— To u was to wolno?

— Wolno, byle nie złapano.

— Zaczynają.

Grano „Łańcuch“ Heijermansa. Mego towarzysza bardzo interesował dramat, ale nie zrozumiał go. Ile razy zaśmiano się, musiałem mu tłumaczyć wszystko. Pocił się obaj.

— Kto grubszy on (Feldman), czy ona (Wojnowska)? — spytał mój towarzysz.

— Trzebaby zmierzyć.

— A ile oni razem oboje ważą?

— Takiej wagi może nie ma we Lwowie, ażeby ich razem zważyć.

W połowie drugiego aktu opuściliśmy teatr udając się na kwadrans do Colosseum, ażeby już zamknąć szereg osobliwości Lwowa. Produkcją się balet. Muzafer Edin był zachwycony. „Walil“ brawo bez końca, śmiał się, ryczał, podnosił się z miejsca i wołał ciągle:

— To śliczne miasto, ten wasz Wiedeń...

— Lwów — poprawiłem.

— Wasza cywilizacja godna, by ją naśladować. Persya niebawem już — da Bóg — pójdzie w wasze ślady — mówił kuzyn gwiazd z entuzjazmem, a ja życzyłem:

— Szczęśliwej podróży!

Klewe.

Z legend japońskich.

JIU-ROKU-ZAKURA.

W Wakegori, prowincji Syo, rośnie bardzo stare słynne wiśniowe drzewo, zwane Jiu-Roku-Zakura, co znaczy drzewo wiśniowe szesnastego dnia. — Gdyż jedynie tylko szesnastego dnia, w pierwszym miesiącu zakwita.

Czas jego kwitnienia przypada w okresie Wielkiego zimna — chociaż inne drzewa, by rokwićnąć, oczekują pory wiosennej.

Bo Jiu-Roku Zakura nie kwitnie swem własnym życiem. W drzewie tem żyje dusza człowieka.

Ogród, gdzie rośnie, należał niegdyś do pewnego samuraja. Kwitło wówczas tak, jak inne wiśniowe drzewa — na wiosnę.

Samuraj kochał swe drzewo. Gdy był małym dzieckiem, bawił się pod jego cieniem; rodzice, dziady i pradziady przeszło od stu lat, zawieszali na jego kwitnących gałęziach szerokie, barwne papierowe wstęgi, zapisane wyjątkami słynnych poetów. Wreszcie i on sam zestarzał się, przeżył dzieci i ze wszystkiego, co kochał, pozostało mu jedynie na całym szerokim świecie, to wiśniowe drzewo.

W końcu i ono zaczęło więdnąć pewnego lata, schnąć — aż umarło...

Starzec cierpiał niewypowiedziane po tej stracie. Aż jakiś litościwy sąsiad, chcąc go pocieszyć, wyszukał najpiękniejsze, jak mógł znaleźć, drzewko i posadził je w ogrodzie. Starzec dziękował i zapewniał, że bardzo się cieszy. Lecz duszę pełną miał żalu, gdyż nadto kochał swe stare drzewo, aby cokolwiek mogło go pocieszyć po stracie.

I pewnego dnia przyszedł mu na myśl sposób, w jaki mógłby ożywić umarłe drzewo. Wyszedł do ogrodu, kłękł przed drzewem i rzekł:

— Zechciej, zaklinam cię, zakwitnąć raz jeszcze, gdyż umieram za ciebie.

Rozpostarł pod drzewem białe swe szaty, siadł i uczynił hara kiri, wedle obyczaju samurajów. Dusza jego natychmiast uleciała w drzewo, które w tejże chwili ożyło i zaczęło kwieć.

I tak już odtąd co rok szesnastego dnia w pierwszym miesiącu, zakwita w porze śniegowej